

ŁAZARZ MENES

Warszawa, 21 września 1945 r. Sędzieja Mikołaj Halfler przesłuchał niżej wymienionego w charakterze świadka, bez przysięgi. Uprzedzony o odpowiedzialności karnej za składanie fałszywych zeznań świadek zeznał, co następuje:

Imię i nazwisko:	Łazarz Menes
Wiek:	ur. 23 marca 1910 r.
Imiona rodziców:	Eliasz i Elstera
Miejsce zamieszkania:	Warszawa ul. Anielewicza 57 m. 30
Zajęcie:	podprokurator Prokuratury Sądu Okręgowego w Warszawie
Wyznanie:	rzymskokatolickie
Karalność:	niekarany
Stosunek do stron:	pokrzywdzony

W lipcu lub sierpniu 1940 roku do mieszkania rodziców moich przy ulicy Natolińskiej 6 w Warszawie w godzinach przedwieczornych wpadła grupa umundurowanych, uzbrojonych Niemców, którzy rozkazali nam w przeciągu 15 minut opuścić mieszkanie, nie pozwalając zabrać ze sobą niczego z luksusowo urządzonego siedmiopokojowego mieszkania. W ten sposób ja, matka i ojciec wyszliśmy z mieszkania nawet bez okryć i kapeluszy. W czasie rozmowy z nami Niemcy strzelali do portretów rodzinnych i zaciekłość ich była tak wielka, że nawet dwoje mieszkających u nas aryjczyków, a mianowicie Zofia Owsiana (obecna moja żona) i niejaki Leon (nazwiska jego nie pamiętam, był to fryzjer pracujący w zakładzie „Karol” przy ul. 6 Sierpnia) musiało opuścić mieszkanie wraz z nami.

Mieszkanie nasze, jak dowiedziałem się później, zostało opieczętowne przez Niemców. Do mieszkania tego już nigdy nie wróciłem. Po opuszczeniu go – wobec już dość późnej pory, to znaczy około godziny 20.00 (nadmieniam, że godziną policyjną była wówczas, o ile sobie przypominam, 21.00) rodzice moi bali się wyjść na ulicę, tym bardziej, że na skutek zarządzenia Niemców zmuszeni byliśmy wówczas nosić opaski wskazujące, że jesteśmy żydowskiego pochodzenia – każdy z nas ulokował się na tę noc u jednych z sąsiadów.

Nadmieniam, że już wcześniej bardzo często miewaliśmy wizyty Niemców, zwłaszcza z al. Szucha, którzy zabierali z naszego mieszkania, co im się podobało, myśleliśmy jednak, że uda się nam jeszcze przez pewien czas w nim przemieszkać, gdyż getto miało być wprowadzone później.

Na drugi dzień po opuszczeniu mieszkania przeprowadziliśmy się na ul. Żelazną 76 do niejakiego Sobola, naszego dalekiego kuzyna, którego siostra była kasjerką fabryki „Plutos”, której mój ojciec był współwłaścicielem.

W tym miejscu zaznaczę, że w tym samym czasie odebrana i oddana pod zarząd komisaryczny została ojca nieruchomość przy ul. Natolińskiej 6. Jednocześnie zaś hitlerowski komisarz fabryki „Plutos” – Oskar Lem[...]old wyrzucił mego ojca z fabryki, tak zresztą, jak i wszystkich innych współwłaścicieli i urzędników pochodzenia żydowskiego, nie wypłacając im ani grosza.

Mniej więcej w październiku względnie listopadzie roku 1940 budowa murów granicznych getta została zakończona i getto szczelnie zamknięto.

W czasie od zamknięcia getta do lipca 1942 roku życie w gettcie płynęło mniej więcej jednostajnym torem. Ludność, pozbawiona kontaktu ze światem zewnętrznym, cierpiała niesłychaną nędzę materialną, łudząc się, że wojna szybko się skończy. Wyjście poza mury dla przeciętnego śmiertelnika było niemożliwe, ewentualnie w razie schwymania po drugiej stronie pociągało za sobą śmierć.

Do niesłychanej nędzy materialnej dochodził jeszcze cały szereg udręk specjalnych w postaci najrozmaitszych bestialstw niemieckich i przepisów specjalnych dla Żydów, jak noszenie opasek, schodzenie z drogi i zdejmowanie czapki przed każdym żołnierzem niemieckim, zakaz jazdy dorożkami i środkami lokomocji, pozbawienie Żydów prawa

korzystania z telefonów celem odcięcia ich od świata zewnętrznego, stałe łapanki do robót na miejscu i do najrozmaitszych obozów, skąd ludzie albo już nie wracali wcale, [albo] w stanie zupełnego wycieńczenia. Wobec odcięcia komunikacji ze światem zewnętrznym i przydzielania żywności w ilościach wręcz groteskowych [jedyny] dowóz żywności odbywał się w drodze szmuglu, który został zorganizowany na dużą skalę. Wpływało to na to, że ceny żywności były niesłychanie wysokie i poza nieliczną grupą osób, stłoczona w [ciasno] cie i zaduchu masa ludności przymierała stale głodem. Do rzeczy najzupełniej normalnych należało to, że na ulicach wciąż leżały wychudłe trupy ludzkie, a przechodnie omijali je jak rzecz zupełnie naturalną. Na małych odcinkach drogi z Żelaznej, gdzie mieszkałem, do ulicy Karmelickiej stałe widywałem po kilkanaście trupów albo zupełnie wychudłych, albo spuchniętych z głodu. Trupy te były grzebane wszystkie razem w jednym dole. Bardzo często [...]jedano, że rodziny wyrzucały z mieszkań na ulicę zwłoki swych najbliższych, nie mając na opłacenie kosztów pogrzebu.

Do tego dochodziły stałe łapanki ludności, przed którymi trudno było się uchronić. Żydowskim organem wykonawczym był tak zwany Judenrat, czyli Rada Żydowska, na czele której stał prezes Czerniaków, a która to rada była tylko ślepym wykonawcą zarządzeń niemieckich. Ten stan rzeczy uległ straszliwemu pogorszeniu w lipcu 1942 roku.

Rozpoczęła się wówczas tak zwana akcja przesiedleńcza, która oznaczała wyjazd do Treblinki i śmierć w komorach gazowych, ewentualnie uduszenie w transporcie. Na murach getta pojawiły się niemieckie plakaty zezwalające, a nawet zachęcające do zabierania ze sobą przede wszystkim biżuterii, złota i walut zagranicznych. W pierwszych dniach akcji przesiedleńczej ogół Żydów nie orientował się jeszcze w swym straszliwym losie i tylko nieliczni wiedzieli, o co chodzi. I tak prezes Rady Żydowskiej Czerniaków, znając widocznie prawdę o „akcji przesiedleńczej” popełnił samobójstwo wraz z żoną. Władzę nad skazaną na śmierć ludnością objęto tak zwane Befehlstelle mieszczące się przy ulicy Żelaznej między Leszno a Nowolipie po stronie nieparzystej. Katami zatem setek tysięcy ludzi byli kierownicy tej placówki: SS-Gruppenführerzy Brandt, Witaszek i inni.

Akcja eksterminacyjna polegała na tym, że otaczane były poszczególne domy i bloki, z których większość mieszkańców musiała opuścić w ciągu kilku minut swe mieszkania i tak jak stali byli pędzeni, jak bydło, na tak zwany Umschlagplatz, czyli plac przeładunkowy za ulicą Stawki, skąd podstawione wagony zawoziły ich do Treblinki.

Nadmieniam, że w początkowym okresie uznawane były jeszcze przez Niemców tak zwane Arbeitskarty opatrzone stemplem hitlerowskim. Wydawane one były tylko pracownikom warsztatów względnie fabryk, pracujących dla Niemców, przy czym posiadacze takich kart także musieli razem z całą ludnością zamieszkującą dany dom wystąpić na podwórze, [po czym] oddzielani byli od reszty i mieli prawo wrócić do mieszkań.

Nadmieniam, że rodziny takich pracowników nie były chronione Arbeitskartą posiadaną przez głowy rodziny i były wysyłane.

Ci, którzy pozostali w mieszkaniach, jeśli szczęście nie dopisało im przy wybraniu odpowiedniej kryjówki, byli przy ujawnieniu zabijani na miejscu przez Niemców, kontrolujących stale mieszkania w takich wypadkach.

W praktyce prowadziło to do tego, że wielu Niemców założyło prawdziwe względnie nawet fikcyjne warsztaty na terenie getta, gdzie za wpis do tych warsztatów, tak zwanych szopów ludzie płacili horrendalne kwoty wpływające do kieszeni Niemców – za przedłużenie życia o parę miesięcy. Była to celowa akcja wyciągnięcia z getta wszystkich zasobów przed wykończeniem jego mieszkańców.

W owym czasie z zarządzenia Niemców getto zostało zredukowane do 1/3, część getta do ulicy Leszno (mur graniczny) odpadła. Ja z rodzicami znowuż w przeciągu 15 minut musiałem przenieść się z ulicy Żelaznej na ulicę Gęsią 30 do fabryki metalurgicznej moich przyjaciół. Zarządzenie niemieckie o zredukowaniu getta było wydane niespodziewanie i na przeprowadzkę i uzyskanie nowego mieszkania dawało zaledwie kilka godzin. Ulice przedstawiały widok dantejski: zapchane [...] były ludźmi niosącymi swoje toboły lub popychającymi nędzne wózki, tak że czas kilku godzin pozostawiony na przeprowadzkę w rzeczywistości zmuszał do natychmiastowego opuszczenia mieszkania, kto bowiem po wyznaczonym terminie znajdował się jeszcze w niezamieszkałej części getta zostawał natychmiast zastrzelony. Granice zmniejszonego getta biegły parzystą stroną ulicy Leszno, ulicą Wolność, Okopową do Stawek itd., z tym, że na Prostej pozostał wydzielony [...] warsztat pod firmą „Szulc” [dopisane: Toebbens]. W tak zmniejszonym getcie akcja eksterminacyjna trwała bez przerwy w dalszym ciągu. Codziennie z Befehlstelle wchodziły w getto oddziały Niemców, Łotyszów i Ukraińców i blok za blokiem, ulica za ulicą otaczały [...]ając całą ludność na Umschlagplatz; pozostałych w mieszkaniach zabijano na miejscu.

W tym czasie Niemcy nie honorowali już Arbeitskart z tym stemplem hitlerowskim; ci bardzo nieliczni, którzy uszli z szeregu, mieli to szczęście, że trafili na Niemca, Łotysza, Ukraińca, który zgodził się za sporą łapówkę w postaci biżuterii lub [...] pozostawić [ich] na miejscu.

W pierwszym okresie akcji Niemcy posługiwali się nawet urzędnikami gminy żydowskiej i służbą porządkową do pomocy w wyciąganiu ludzi na Umschlagplatz.

Tłumy ludzi popędzane przez Ukraińców, zmuszane razami bykowców do biegu w kierunku Umschlagplatzu przy okrzykach Niemców schnell, schnell, przedstawiały widok wprost niesamowity. Mąż zapominał o żonie, matka – o dzieciach.

Dla orientacji dodam, że wówczas jeden kilogram czarnego chleba kosztował 100 złotych, kurs dolara papierowego był złotych 20, czyli 1 kg chleba kosztował 5 dolarów. Nic też dziwnego, że gdy Rada Żydowska ogłosiła, że każdy zgłaszający się ochotniczo na wyjazd otrzyma 3 kg chleba i pół kg marmolady, to tłumy wygłodzone same poszły na dworzec. Każdy twierdził, że jeżeli nie ma rady, to zgadza się umrzeć, ale chce raz najeść się do syta.

W owym czasie niesłychanie liczne były przypadki samobójstw, jak również na porządku dziennym [było] zabijanie swoich najbliższych. Najczęściej przy pomocy trucizny. Mała pastylka cyjankali wystarczająca na dwie osoby kosztowała 15 tys. złotych.

Niestety oporu zorganizowanego nie było wcale, co najwyżej tu i ówdzie sporadyczne wypadki. Ci, którzy jeszcze mieli siły do walki z losem, obrócili wszystkie swoje wysiłki na budowę tak zwanych schronów. Schrony bywały „górne”, albo „dolne”, to jest polegały na maskowaniu jednego pokoju w mieszkaniach w najrozmaitszy sposób, przy czym wchodziło się do tego pokoju przez otwierającą się ścianę pieca bądź ruchomy zlew, bądź wreszcie – prymitywnie – przez tylną ścianę szafy, zasłaniającą drzwi. Schrony „dolne” stanowiły całe pomieszczenia podziemne. Zarówno jedne, jak i drugie częstokroć stanowiły szczyt wynalazczości, tak że wykrycie ich było prawie niemożliwe. W owym czasie Niemcy domów jeszcze nie palili, tak że pewna część ludzi dzięki schronom się uratowała.

Na własne oczy stale widziałem furmanki, wyładowane po sam wierzch bezładnie zwisającymi trupami, a zmierzające ulicą Gęsią na końcu [...] nazywałem w kierunku

cmentarza. Dla charakterystyki dodam, że furmani ci, Żydzi pod eskortą Niemców, stale byli pijani i poili wódką nawet swoje konie.

Taki stan rzeczy trwał do 5 lub 6 września [...]. Tegoż dnia Niemcy ogłosili, że cała pozostała ludność żydowska ma się zebrać w obrębie kilku ulic: Miłej, Wołyńskiej, Zamenhofska i jeszcze kilku, czyli w tak zwanym kotłach. Tam nastąpić miała ostateczna segregacja, kto pozostaje w Warszawie, kto zaś idzie na wysiedlenie, czyli – jak już wtedy było wiadomo w getcie – na śmierć.

Niemcy uprzedzili, że ci, którzy pozostaną poza terenem tego kotła, zostaną na miejscu zabici. Część ludności skorzystała z wybudowanych schronów i nie udała się do kotła. Natomiast większa część do kotła poszła.

[...] zezwolenia ja i moja rodzina dysponowaliśmy dobrym schronem na ul. Gęsiej 30, który niejednokrotnie poprzednio ratował nam życie, to jednak rodzice moi zdecydowali się iść do kotła, gdzie zresztą na ulicy Miłej pod 64 także mieliśmy schron [i to] dobry!

Wędrówka ludności do tego kotła trwała kilka dni i przedstawiała sobą obraz beznadziejnej rozpacz.

Kocioł został dokładnie otoczony Niemcami i rozpoczęły się tam [...] segregacje, które trwały około tygodnia. Segregacje te odbywały się w ten sposób, że prowadzono ludzi pracujących w danej fabryce – tak zwanej szopie – zjawiał się Niemiec, kierownik tej fabryki w asyście Brandta z Befehlstelle i całych kolumn [żandarmów?] Niemców, Łotyszów lub Ukraińców. Z ludzi zatrudnionych w szopie minimalną część, przeważnie młodych mężczyzn, odsyłano do fabryki, kolosalną zaś większość, w tym wszystkie kobiety, dzieci i ludzi starszych pod eskortą uzbrojonych band kierowano na Umschlagplatz, a potem do Treblinki.

Na tym wobec późnej pory przesłuchanie przerwano. Protokół odczytano.

PROTOKÓŁ PRZESŁUCHANIA ŚWIADKA

Warszawa, 7 marca 1946 r. Sędzia F. Rybiński, delegowany do Komisji Badania Zbrodni Niemieckich, przesłuchał niżej wymienionego w charakterze świadka, bez przysięgi. Świadek został pouczone o obowiązku mówienia prawdy oraz odpowiedzialności karnej za składanie fałszywych zeznań.

Ja, Łazarz Menes, zeznaję w dalszym ciągu:

W tym też czasie, 1 i 7 września 1942 miała się odbyć segregacja pracowników „szopy”, w której pracowałem z ojcem (Ostdetsche Bautischlerei Werkstatte); kobiety i dzieci pozostały w schronach, mężczyźni zaś wyszli na ulicę, łudząc się, że może będą należeć do szczęśliwców, którzy wrócą do fabryki. Łącznie z pracownikami naszej szopy odbywały się równocześnie i segregacje innych szopów, tak że ulica Miła tego dnia przedstawiała niesamowity widok dziesiątek tysięcy ludzi, zbitych w szeregi, od wielu dni głodnych i czekających z rezygnacją na wyrok życia lub śmierci. Czekanie to trwało od godz.12.00 do co najmniej 5.00 po południu. O tej godzinie zjawił się pijany dyrektor naszej „szopy” w asyście słynnego kata żydowskiej dzielnicy SS-Stumbannführera Brandta z Befehlstelle i zwartych oddziałów SS-manów i Ukraińców. W ciągu kilku chwil na ulicy zapanowało piekło. Razami nahajek, uderzeniami [...]la po głowach Niemcy ustawili prawie cały tłum [...] do Zamenhofa, nie zaś do ulicy Smoczej, co oznaczało marsz na Umschlagplatz i w konsekwencji piece Treblinki.

Nieliczna grupka młodych, do której i ja cudem się dostałem, została ustawiona twarzą do ulicy Smoczej. Dla tych oznaczało to powrót do fabryki i jeszcze kilka miesięcy życia. Tymczasem SS-man i Ukraińcy pędzili już nahajami i przy akompaniamencie strzałów dziesięcioletni tłum w stronę Umschlagplatzu. Niektórzy próbowali uciekać, ale każda próba ucieczki kończyła się śmiercią. Od kul niemieckich cała ulica Miła pokryta była zwłokami zastrzelonych; znikąd nie było pomocy ani ratunku; przy akompaniamencie jęków, przekleństw, płaczu, bicia i strzałów fala ludzka ruszyła na Umschlagplatz.

Wtedy po raz ostatni widziałem w tej fali ojca mego, razem z innymi skazanego na śmierć. A przedtem jeszcze na katusze męki, bicia, pragnienie, piekielną jazdę bez wody i powietrza w zaplombowanych wagonach, do chwili kiedy piece Treblinki położyły kres ich męce.

Mniej więcej około 10 września 1942 roku zakończył się pierwszy etap likwidacji Żydów warszawskich. Wywiezionych zostało wówczas (lipiec – sierpień 1942) około 400 tys. ludzi. W zmniejszonym getcie warszawskim pozostało wszystkiego około 100 tys. ludzi, wszystkich zatrudnionych w „szopach” pracujących dla Niemców. Getto przybrało zupełnie inny charakter. Nie było już ludzi, prywatnych mieszkań, rodzin itp. Były tylko numery. Każda „szopa” miała swój blok, gdzie zrazu ludzie się sprowadzili i zwartymi szeregami szli do pracy.

Tak samo wyglądał powrót. Chodzenie po opustoszałych ulicach w pojedynkę, nie z kolumną roboczą, oznaczało pewną śmierć z rąk niemieckich patroli stale krążących po ulicach. Ale nawet kolumny robocze nie były pewne swego losu; po drodze z bloku mieszkalnego do „szop” zawsze byli kilkakrotnie rewidowani i obrabowywani przez Niemców.

W tym okresie Żydzi już zrozumieli, że i tak, i tak skazani są na śmierć, lepiej więc ginąć z honorem. Rozpoczyna się ożywiona działalność organizacji bojowej. Odezwy na murach martwych domów, mobilizowanie sum pieniężnych, a co najważniejsze zdobywanie za wszelką cenę i ze wszystkich możliwych źródeł broni i amunicji.

Mimo całkowitej izolacji, ciągłych rewizji, groźby śmierci broń (najczęściej krótka) napływała rozmaitymi drogami, wielokrotnie kupowana nawet za fantastyczne sumy od cywilnych Niemców. Sporo broni dostarczyli przez kanały pracownicy kanalizacji.

Ten względny, śmiertelny spokój trwał do połowy [stycz]nia 1943. Rozsądniejsi wykorzystali go dla [uciecz]ki na stronę aryjską, która przy pomocy przekupionych wart niemieckich wciąż była [jeszcz]e możliwa. Inni, do których i ja należałem, [nie] mogąc zostawić samej starej, wymęczonej matki, szykowała najrozmaitsze schrony górne i dolne, gromadziła zapasy żywności, wciąż grała na czas, licząc na to, że każdy dzień może przynieść wybawienie. Zamiast wybawienia przyszła jednak zagłada.

W połowie stycznia Niemcy przeprowadzili [parodni]ową czystkę, której rezultatem było wywiezienie do pieców Treblinki około [...]dziesiąt tysięcy ludzi. Teraz nawet nie liczone się z tym, czy ktoś jest fachowcem zatrudnionym dla Niemców, czy „szopa” pracuje, czy też nie. Zabierano całe kolumny robotników idących do fabryk i kierowano je drogą już normalną na Umschlagplatz. Po pięciu dniach akcja ta chwilowo ustała; [dru]ga fala szczęśliwców, którzy się jeszcze ostali, przeszła na stronę aryjską, w getcie pozostało około 50 tys. ludzi niemających dokąd pójść po stronie aryjskiej względnie nie mogących opuścić rodziców (tak jak ja starej matki). Dla tych 50 tys. ludzi sytuacja była zupełnie wyraźna, wiedzieliśmy, że jesteśmy skazani na śmierć, chodziło tylko o termin wykonania wyroku. Najbardziej poszukiwanymi artykułami były wtedy: 1) broń i amunicja, 2) pastylki z cyjankiem, 3) zapasy żywności.

Wtedy też ujawniła się nowa koncepcja schronów, a mianowicie tzw. schrony stałe. Różniły się one tym od normalnych, że nie było w nich maskowanego wyjścia; były to schrony najczęściej pod ziemią, dobrze wyekwipowane, z wentylacją, zapasami żywności na rok i dłużej, które

po wejściu uczestników tego schronu do wewnątrz zostały przez zaufane osoby na stałe zamurowane. Woda była uzyskiwana przy pomocy pompy. Ludzie ci liczyli na to, że po okresie wyczerpania się zapasów [...] zburzą sami ścianę czy sufit i wyjdą – może już na wolny świat. Ja po tej linii nie poszedłem, gdyż sądziłem, że [...] ludzie takiego roku nie wytrzymają i ludzi tak zamaskowanych ogarnie szal. Łącznie z pracownikami naszego nieistniejącego już „szopu” przyszykowaliśmy dwa schrony dolne, dwa górne, nagromadziliśmy żywność na wiele miesięcy, łudząc się, że jeżeli wybuchnie ostatnia już akcja, to zawsze jeszcze nam, młodym, jako tako uzbrojonym uda się przejść przez mur na stronę aryjską.

Tak łudziliśmy się do 19 kwietnia 1943, gdy nadszedł moment ostatecznej likwidacji nieszczęsnych niedobitków żydostwa warszawskiego i starcia z powierzchnią ziemi wszelkich śladów, że tu żyło i pracowało około 500 tys. ludzi, największe skupienie Żydów europejskich.

[19 kwietnia] 1943 roku wypadała wigilia żydowskich świąt Wielkanocy i ten termin wybrali Niemcy dla likwidacji niedobitków getta; charakterystyczne jest, że dlatego typu akcji Niemcy z perfidią wybierali termin jakichś uroczystych świąt żydowskich. Wieczorem [poprzedniego] dnia zostaliśmy poinformowani telefonicznie ze strony aryjskiej, że rozpocznie się już ostateczna [...]cha. Niektórzy pochowali się jeszcze, niektórzy po prostu uciekali przez mury lub [...] [...]. Było to jednak możliwe tylko do 2.00 godziny w nocy. O tej godzinie wszystkie mury getta zostały otoczone szczelnym kordonem SS-manów i Ukraińców wyposażonych w ciężkie karabiny maszynowe, granaty itp.

W nocy wszyscy weszli do schronów, tak że rano zastał zupełnie opustoszałe ulice i domy. Ja z kilkudziesięcioma lokatorami ukryłem się w schronie podziemnym przy ul. Gęsiej 30. Przypuszczam, że resztki tego schronu jeszcze tam są. W schronie słyszeliśmy cały dzień odgłosy regularnych salw i strzałów. Getto ginęło, ale ginęło z honorem. Tej nocy dotarł do nas jeden z pracowników naszej „szopy”, który dzień ten spędził w schronie na Miłej. Ulica Gęsia była poza terenem tzw. małego getta i dlatego sądził, że się prędzej uratuje. Opowiadał nam, że w getcie dzieją się dantejskie sceny, które zresztą [...] miałem osobiście widzieć. Niemcy nie poprzestali, jak dotychczas, na dokładnych rewizjach w mieszkaniach ludzi, ale z pedantyczną wprost regularnością palili dom za domem, blok za blokiem, nie odchodząc, póki się dom nie wypalił doszczętnie. Zrozumiałe, że w ten sposób zginęli wszyscy ci, którzy przebywali w tzw. „schronach górnych” (maskowane pomieszczenia). Że Niemcy [wraz z] ludźmi zniszczą całą tak [wielką] część miasta doszczętnie, nikt tego przypuszczać nie mógł.

Gdy pod wpływem żaru i ognia ludzie w schronach zbliżali się do okien, byli wystrzeliwani przez Niemców jak kaczki.[...] najczęściej zresztą skakali przez okna, by ponieść chociaż szybką śmierć na miejscu.

Opór organizacji bojowej był zajadły, ale bezskuteczny. Każdy wiedział, że zginie, pogodził się z tym, ale chociaż przedtem zabił kogoś z [...] niemieckich. Najdłużej broniła się szopa na ulicy Świętojerskiej i blok naszej „szopy” na ulicy Miłej. Tutaj jedna z młodych dziewcząt, córka jednego z kierowników szopy, rzuciła się z okna z całą wiązką granatów w tłum Niemców.

Mimo straszliwej przewagi Niemców operujących nawet czołgami i samolotem zwiadowczym stale krążącym nad gettem Niemcy ponieśli stosunkowo poważne straty. [Co] jednak mogła zdziałać garstka Żydów uzbrojonych co najwyżej w rewolwery i liczone naboje, w najlepszym wypadku (szopa szczotkarzy) jeden zacinający się karabin maszynowy [wobec] tak straszliwej przewagi. Poza sporadycznymi wypadkami pomoc żadna nie nadeszła. Przez pierwszych kilka dni walk zjawiali się kanałami tzw. kanalizatorzy (pracownicy tego działu) przynosząc broń, żywność, wyprowadzając kanałami grupki ludzi na stronę aryjską. Po kilku dniach jednakże Niemcy, [...] o tym doniesiono, granatami rozerwali kanały w miejscach wychodzących na stronę aryjską, tak że zostaliśmy bez[warunkowo] sami. Po jakichś pięciu – siedmiu dniach opór żydowski został zlikwidowany; getto całe płonęło. [Rano] został spalony nasz schron „górnny” mieszczący się w tej samej posesji przy ul. Gęsiej 30. Spaliło się tam około 100 osób; jakieś co najmniej [pięć]osób uratowało się w ten sposób, że wskoczyli do piwnicy, w której kiedyś kopaliśmy, aby dostać się do wody, ale piwnica wypełniła się błotem i tak ją zostawiliśmy. W błocie tym [oni] siedzieli cały dzień po szyję, gdy w międzyczasie dom otoczony przez Niemców doszczętnie się wypalał. W nocy, gdy Niemcy, będąc pewni, że wszystko się spaliło, opuścili teren, ludzie ci przyszli do naszego schronu.

W schronie tym przebywałem z matką i jeszcze kilkoma bliskimi mi ludźmi około dwóch tygodni. Pobyt tam był wprost makabryczny, schron był obliczony na piętnaście osób, było w nim około 70 ludzi; temperatura, zaduch i brak powietrza był straszliwy, chodziliśmy prawie nago, ale i to nie pomagało. Do tego dochodził zupełny brak żywności, żywność nasza, jak to zresztą zwykle bywało, z braku miejsca ulokowana była w schronie górnym i spaliła się wraz z nim. Cena kropli wody równała się cenie kropli krwi, gdyż po wodę musieliśmy wychodzić nocami na zewnątrz. Po dwu mniej więcej tygodniach przeniosłem się któreś nocy z matką i moimi bliskimi do jednego ze schronów w domu przy ul. Gęsiej 79. Były [tam] ogółem cztery

schrony; jeden cudownie zamurowany za wielkim transformatorem [elektr]ycznym. Niestety pozostał tylko jeden podziemny, gdyż z innych ludzie, nie mogąc znieść temperatury palącego się domu i z braku powietrza po prostu wychodzili Niemcom naprzeciw. Szczęśliwcy zażywali cyjankali, ci co mieli broń, strzelali w tłum Niemców, wreszcie ginęli od własnej lub niemieckiej kuli, a reszta [była] pędzona przez Niemców na rozmaite podwórka (ul. Zamenhoffa – więzienie wojskowe, ul. Nowolipie), tam rozstrzeliwano, a [ciała] polewano benzyną i spalano.

W schronie podziemnym przy ul. Gęsiej 79 przebywałem około trzech tygodni. Warunki były nie mniej straszliwe niż poprzednio. Było tam około stu osób, w tym duża ilość starych kobiet i dzieci. Leżało [się dnie i] noce na zimnej, wilgotnej ziemi, w nocy jadło się talerz kaszy (gotowało się tylko w nocy, by w dzień dym z komina nie zdradził schronu). O każdy łyk wody trzeba było walczyć, wodę przynosiło się w nocy [...] w bańkach. Kobiety i dzieci [nie miały] nawet dosyć sił, by wyjść, czołgając się przez rozmaite wykopane korytarze, po wodę, Tak że były skazane na śmierć z pragnienia, jeżeli im ktoś wody nie przyniósł.

Po trzech tygodniach, zdając sobie sprawę, że tak przeludniony, spragniony i wygłodzony schron prędzej czy później musi być wykryty przez Niemców, w szczególności przez rumor, jaki [powodow]ało przynoszenie wody dla tylu osób, w dodatku w zupełnych ciemnościach, przy akompaniamencie płaczu, jęków i przekleństw. Przyłączyłem się do grupy siedmiu młodych ludzi, która urządziła sobie schron pomiędzy [...], a w zasadzie przebywała na gruzach spalonych domów w jakichś zakamarkach na wyższych piętrach. Wchodziło się przy pomocy to skleconej jako tako drabinki linowej, to przy pomocy długiej drabiny drewnianej, przenoszonej z jednego półpiętra na drugie, potem przenoszonej dalej, tak że w rezultacie wchodziliśmy na szóste piętro spalonego zupełnie domu, pozbawionego kompletnie schodów. Było to możliwe tylko dla ludzi młodych, energicznych i zdecydowanych na wszystko.

Nasze smutne przewidywania miały się też tragicznie sprawdzić: ludzie ze schronu piwnicznego przy ul. Gęsiej, w pogoni za wodą lub resztkami żywności wychodzili już zupełnie zrezygnowani, bez żadnych środków ostrożności na ulicę i kolejno wpadali; w pierwszej połowie czerwca 1943 nastąpiła katastrofa. Niemcy przyjechali kilkoma samochodami, w schron ten wrzucono kilka granatów, a potem ze schronu poczęli wychodzić ludzie bardziej do trupów niż do ludzi podobni. W ten sposób zginęła moja matka. W całej tej [...] dzielnicy getta (Gęsia, Smocza, Miła) pozostała przy życiu tylko nasza ósemka: czterech mężczyzn

i cztery kobiety; razem ze mną w grupce tej przebywał też niejaki Romek [Zejtman?], obecnie zamieszkały w Radomiu przy ul. Tramwajowej 51/3, który się ostatecznie wraz ze mną oc[alił]. Ósemka nasza dokonywała wprost cudów, by się jakoś utrzymać przy życiu. Mieliśmy szereg schronów na najwyższych piętrach spalonych domów, gdzie dostawaliśmy się w sposób wyżej opisany (drabiną lub drabinką linową). Po wodę szło się nocami i transportowało po linach w górę; wykopywaliśmy zgniłe kartofle ze starych kopców na ul. Nowolipie (szopa Szultza), obrywaliśmy niedojedzone jabłka z opustoszałego ogródka (ul. Smocza), wdrapywaliśmy się na balkony spalonych domów, w nadziei, że może jakieś pozostały zapasy szykowane na święta, i rzeczywiście, w jednym miejscu znaleźliśmy 10 kg smalcu [...] ze stu jajkami. W połączeniu z przynoszonymi przez nas kartoflami była to dla nas uczta Lukullusa.

Niemniej zdawaliśmy sobie sprawę [że jest] to tylko przedłużanie agonii i prędzej czy później wpadniemy. Tym bardziej, że Niemcy w pogoni za niedobitkami, lub pozostawionymi przez nich pieniędzmi, na ogół w dużej ilości, stale patrolowali w nocy ulice w filcowych butach, tak, że ich w ogóle słychać nie było, a my przy noszeniu wody czy kartofli mimo najdalej idącej ostrożności robiliśmy wiele hałasu.

Próbowaliśmy najrozmaitszych sposobów wydostawania się z getta jak robienie podkopu [pod] ul. Pawią (mur pośrodku ulicy, druga strona aryjska), przy ul. Leszno (tak samo). [W] wieczór nalotu rosyjskiego na Warszawę, próbowaliśmy przejść siłą przez mur na ul. Pawiej, [ale] nic się nam nie udawało. Getto było hermetycznie zamknięte i dokładnie pilnowane. Tymczasem w pierwszych dniach sierpnia 1943 na teren getta zaczęły wjeżdżać wozy z robotnikami dla rozbiórki i wywożenia szmelcu żelaznego.

Z jednym z tych ludzi nawiązaliśmy kontakt przy pomocy rzucanych przez nas listów błagalnych prośbą o ratunek, żywność i broń. Do takiego listu załączaliśmy jakieś drogocенności z biżuterii; ludzie to podnosili i na ogół nie reagowali. Wreszcie jeden z furmanów (człowiek ten żyje do dnia dzisiejszego) zlitował się nad nami i przez kilka tygodni w umówiony sposób (rzucając paczki we wskazane miejsca, które to paczki podnosiliśmy nocami) dawał nam żywność, lekarstwa (wszyscy chorzy byliśmy na straszliwą, przez cztery miesiące nie leczoną [...]), amunicję, itp. Ten sam człowiek za[brał] pierwszy mój list do mojej żony, aryjki, która wówczas, będąc pewna, że już nie żyję, przebywała w Otwocku. Żona moja poczęła gorączkowo organizować po drugiej stronie akcję ratunkową, ale furmani wciąż [bali się] nas wywieźć.

W międzyczasie [nastąpiła] katastrofa. Przebywaliśmy w jednym ze schronów na szóstym piętrze domu przy ul. Nowolip[...] i tam, nie mając wody, poczęliśmy rozbierać piece kąpielowe w łazienkach, by uzyskać chociaż trochę wody. Hałas ten jednak Niemcy usłyszeli. Dom został otoczony, schron nakryty. Niemcy rozbili sąsiednie ściany i wpadli do pokoju. Ze wszystkich nas ośmiu ocalała się tylko dwójka [...] wysportowany Roman Z[...], wdrapał się na sam dach spalonego domu i tak siedział nad przepaścią dwie godziny, i ja, który bez żadnej nadziei, gnany instynktem, stanąłem za drzwiami kuchni, tak że Niemcy mnie nie dostrzegli – tego sam nie mogę zrozumieć – była to wyraźnie łaska Boża, gdyż przez godzinę czasu prawie kręcili się wkoło mnie. W ręku miałem rewolwer [...] pięcioma nabojami. Kilku z naszych [...] zostało na podwórzu, kilku przywiązanych sznurem jeden do drugiego, prowadzono gdzieś na śmierć. Ja ocalałem [...] i tak samo ocalał Romek, który [wreszcie] zlązł z dachu i omal mnie nie zastrzelił, gdyż słysząc z dołu moje kroki, myślał, że to jakiś Niemiec pozostał. Jeszcze tej samej nocy wróciliśmy na ul. Gęsią przy czym [Romek] prawie już chodzić nie mógł, gdyż dostał jeszcze poprzednio kulę w nogę. [...] jak rano, gdy furmanka z naszym [...] jak zwykle zatrzymała się koło naszego domu pod pozorem zbierania [...]nego szmelcu. Wyszliśmy w dwójkę, [jak] to było umówione, na podwórze, poczęliśmy rzucać szmelc na wóz i wreszcie [...]łem, pozastaniali częściowo blachami [ruszyliśmy]. W chwilę potem otworzyła się przed nami brama getta (Gęsia róg Okopowej, koło cmentarza) i po paru minutach znaleźliśmy się wśród przyjaciół moich po stronie aryjskiej. I tu jeszcze czekały nas ciężkie przejścia, jak rok ukrywania [się], powstanie i jego upadek, wyjście powstańców do Pruszkowa, ale wszystko to było już niczym w porównaniu z piekłem, jakie za życia przeszedłem w getcie warszawskim [za] okupacji niemieckiej.